

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 29 LISTOPADA 1924.

Nr 64.

Rozwiązanie zagadki historycznej.

Niedawna przeszłość, a ściśle lata wojny od 1914 do listopada 1918 — okres przewalania się przez ziemie Rzeczypospolitej fali zmiennych okupacji, pozostawiły nam w spadku cały szereg zagadek i niejasności, domagających się, dla pełni historycznego tych czasów obrazu, rozstrzygnięcia. Przyczyna wielu zjawisk, dla historii nieobojętnych, jest jeszcze dla nas tajemnicą, lub czasem błędnie tłumaczona. Nie w jednym wypadku sumienia ludzi niewinnych obciążono cudzemi przewinami, nie jeden z tych, którzy w cichych mogił odeszli władanie dźwigają przed omylnym trybunałem ludzkim kamień wzgardy za innych, w dostojenstwa porostych.

I dlatego, mimo wartki potok życia dnia dzisiejszego i trosk o jutro, trzeba, gdzie można, prostować błędy, dociekać i rozwiązywać zagadki historyczne, a wyciągać z nich naukę i wnioski, aibowiem tylko na prawdzie budowane zręby życia, budowane się trwale.

Powracamy tedy na chwilę do przeszłości.

Przypominamy jeden z charakterystyczniejszych jej momentów. Rok 1917 — przesilenie i likwidacja Legionów. Większość legionistów, pochodzących z ziem polskich pod zaborem rosyjskim, odmawia przysięgi na wierność cesarzom państw centralnych. Komenda Legionów pozostaje bez wojska. Legjoniści, b. poddani rosyjscy, pod eskortą niemieckich bagnatów rozjeżdżają się do obozów jeńców: oficerowie do Benja-

minowa, szeregowi do Szczypiorny. Rozdzielono ich w wyraźnym celu złamania, pozbawionych dowódców faktycznych i przywódców moralnych, żołnierzy, skłonienia pod naciskiem rygoru więziennego i głodu do zasilenia szeregów Wehrmachtu. Z woli Komendanta i rozkazu Rydza-Śmigłego, kilkunastu wybitnych oficerów, wybranych z pośród olbrzymiej ilości ochotników, występują do walki z podstępny planem niemieckim: zrzekają się wygod oficerskiego obozu, zrywają drogie sercu dystynkcje oficerskie, przywdziewają żołnierskie bluzy i zamieszani w tłum żołnierski jadą ze swymi podkomendnymi do Szczypiorny. Czeka ich tam zadanie żmudne, ciężkie, ale wdzięczne i ideałem dobrej zasługi dla ojczyzny opromienione.

Byłem wówczas z paczką przyjaciół w Szczypiornie i dlatego mam prawo stwierdzić, jak wielkim był rezultat tego pięknego poświęcenia oficerów, dzielących los żołnierza. W trudnych warunkach życia jeńców, szybko przeniknęła szeregi legjonistów dyscyplina i powróciła dawna organizacja, zachowane zostały formacje i rygor wojskowy, okrzepł wypróbowany w bojach duch, zamałcony kryzysem i falą represji. Niemcy z podziwem spoglądali na jeńców, którzy się nie czuli ani złamani, ani nie wolni, jeńców, których nie można było szkarnować — tak byli ożywieni uczuciem solidarności i determinacji w oporze.

Nic nie wskazywało na zbliżającą się katastrofę. Przyszła ona niespodziewanie. Pewnego dnia wywołano do kancelarii po nazwisku wszystkich prawie oficerów, uwięziono i wysłano — wojsko pozostało bez swych dowódców. Skąd przyszła ta katastrofa? czyja nikczemna ręka wskazała niemieckim władzom szlachetnych i ofiarnych oficerów? kto dopuścił się tej nikczemnej ze stanowiska narodowego, zdrady? — próżno staraliśmy się dociec. Podejrzewano wielu niewinnych, jak się dzisiaj okazało, żołnierzy, ludzi cywilnych w stolicy „politykujących” i t. d.

Wreszcie dzisiaj mamy rozwiązanie tej tajemnicy, a daje je dokument, który, dla skrócenia polemiki i wyjaśnień, w całości przytaczamy:

KOMMANDO POLNISCHER LEGIONEN

Z. Nr. 11898/17

Reserwat!

An

der Obersbefehlshaber des Polnischen Heeres,
Abt. Poln. Wehrmacht

in Warszawa.

Warszawa, am 6/8 1917.

Es gelangte zur h. ä. Kenntniss die Nachricht, dass folgende, aus dem Legionsverbande entlassene Offiziere, im Lager Szczypiorna, in Verkleidung der gemeinen Soldaten verweilen:

Tessaro Stanislaus, Hptm., *Dreszer* Gustaw, Hptm, beide aus dem 1 Inf. Rgnte, — *Biernacki* Stephan, Hptm d. 3 Inf. Rgmts, — Dr. *Kołataj* Johan, Rgmtsarzt d. 4 Inf. Rgmts, — *Skotnicki* Stanislaus, Obltnt. d. 1 Ulanen Rgmts, — *Biernacki* Joseph, Ltnt. d. III Brgdekmdos, —

was hiemitt, zur weiteren Amtsverfügung vorgelegt wird.

Pieczęć okrągła

„Komenda
Legjonów
Polskich“

Der Generalstabschef

Zagórski, mjr.

Na odwrocie tego dokumentu czytamy:

ABTEILUNG POLNISCHE WEHRMACHT Warschau, den 7 August 1917.
des KAISERLICH DEUTSCHEN
GENERALGOVERNEMENTS WARSCHAU
Nr. 9780.

An

Abteilung A (I)

Zur Kenntnis und weiteren Veranlassung.

Herrbruch.*).

Denuncjował więc wobec Niemców oficerów legionowych b. oficer austrijacki K.-Stelle, ówczesny szef sztabu Komendy Legjonów, a dzisiaj generał i szef departamentu w M. S. Wojsk. — Włodzimierz Ostoja Zagórski. Na skutek tej denuncjacji, wymienieni w niej oficerowie byli aresztowani w obozie, wyrwani z ideowej służby wśród swych żołnierzy i zesłani na długą tułaczkę do karnego obozu w Havelbergu.

Dzisiaj razem z denuncjowanymi przez siebie p. Zagórski nosi mundur generała, ściska dłoń gen. Dreszerowi, płk. Tessaro, płk. Skotnickiemu, płk. Kołatajowi i innym, uchodzą za ozdobę armji i arbitra w sprawach honoru.

Nie mnóżmy konsekwencji. Pozostawiamy je z zaufaniem p. ministrowi spraw wojskowych i korpusowi oficerskiemu, a zwłaszcza generałom. Niech spełnią co do nich na-

*) W tłumaczeniu polskim dokument ten brzmi dosłownie:

„Komenda Legjonów Polskich, tajne, Do Naczelnego dowódcy Wojska Polskiego, Oddział Polskiego Wehrmachtu w Warszawie. Warszawa d. 6/8 1917. Doszła do tutejszej wiadomości informacja, że następujący oficerowie, zwolnieni z Legjonów, przebywają w przebraniu zwykłych żołnierzy w obozie Szczypiorna: *Tessaro* Stanisław, kpt, *Dreszer* Gustaw, kpt, obydwa z 1 pułku piech., — *Biernacki* Stefan, kpt. 3 pułk. piech., — Dr. *Kołataj* Jan, lekarz 4 plk. piech., — *Skotnicki* Stanisław, porucznik 1 plk. ułanów, — *Biernacki* Józef. ppor. komendy III Brygady, — co niniejszym przedkłada się do dalszego urzędowania. Szef Sztabu Generalnego *Zagórski*, mjr.“ Na odwrotnej zaś stronie tego dokumentu treść brzmi: „Oddział Polskiego Wehrmachtu Cesarско-Niemieckiego Generał-Gubernatorstwa Warszawskiego. Warszawa d. 7 sierpnia 1917. Do Oddziału A (I) — Do wiadomości i dalszego załatwienia. *Herrbruch*.“

leży — my pozostawiamy sobie tylko prawo niecierpliwości o rezultaty ich kroków i decyzji.

Oryginałem dokumentu służymy.

W. Stpiczyński.

„Stała większość sejmowa“.

Jeżeli w opinii polskiej niema dwóch zdań co do wartości obecnego sejmu, to w przedmiocie przyczyn tego stanu oraz dróg, prowadzących do uzdrowienia, panują w tejże opinii poglądy nad wyraz mętne i bałamutne. Odbijają się w nich stare upodobania i nałogi przedrozbiorowe; przez mgłę tych nałogów spogląda u nas przeciętna jednostka na życie zachodnie i wyciąga z nich wskazania, przesiąknięte jej własnym subiektywizmem.

W pojęciu naszego ogółu ideałem ciała zbiorowego pozostał jednomyślny, a raczej bezmyślny tłum, będący wciele niem upragnionego hasła jedności i zgody. Byłoby najlepiej, aby takim tłumem, nastrojonym na wspólny ton mógł zostać cały naród, skoro atoli okazuje się to wciąż nieziszczalnem marzeniem; więc trzeba z konieczności obszar „jedności i zgody“ zwęzić, redukując go obecnie do postulatu „stałej większości sejmowej“, z którym obecnie występuje w swych programach, rezolucjach i oświadczeniach prawica. Zdanie o jej dla uzdrowienia naszego sejmu i życia politycznego należy tak zmienić ordynację wyborczą, aby „stała większość“ polska wychodziła z niej automatycznie. Sejm z jego jawnymi obradami zmieniłby się wtedy w pustą dekorację i owa większość, ślepoposłuszna swym przywódcom i najzupełniej głucha na argumenty i przestrogi innych grup, odsunęłaby je właściwie od wspólnej pracy sejmowej, odmówiłaby im nawet rzeczowych wyjaśnień i informacji, całą zas sumę wpływu na sprawy państwowe skupiła wyłącznie w swem gronie. Wszak doszło już do czegoś podobnego za rządów Chjeno-Piasta, chociaż do stałej większości było jeszcze daleko. Przywódcy i publicyści Chjeny, goniąc za swą niedorzeczną chimera, wmawiają w ogół, że pragną tego, co już zostało urzeczywistnione w zachodniej Europie, że tam dzięki lepszej ordynacji wyborczej jest w parlamentach stała większość, która zapewnia państwu równowagę i konsekwencję kursu rządowego. Trudno o większy absurd. Takiej większości, o jakiej marzy nasza reakcja niema w żadnym parlamencie zachodu i być jej nie może, gdyż podobna koncepcja jest sprzeczna z samą zasadą ustroju przedstawicielskiego.

Czerpiąc swą treść oraz dążenia z masy narodu, parlamentaryzm musi być zmiennym, jak jego źródło, musi wysuwać prądy i tendencje polityczno społeczne w miarę ich wzra-

stania i dojrzewania. Cóż więc ma oznaczać „stała większość“, która ma być warunkiem jego normalnego funkcjonowania?

Nie ulega wątpliwości, że na drodze praktyki parlamentarnej stronnictwa polityczne nabierają pewnej określonej fizjonomji i osiągają względną stałość. Sama praktyka jest najpewniejszą mistrzynią realizmu; ona też najlepiej uczy odróżniać rzeczy możliwe od fantastycznych pomysłów. Ona też nie pozwala na zbytne różnicowanie partji, gdyż w granicach możliwego czynu jest nieporównanie mniej dla nich miejsca, niż na bezgranicznem przestworzu wszelakich doktryn, oraz osobistych upodobań i kaprysów.

Wszakże ta stałość, która bywa naturalnym owocem dłuższej szkoły parlamentarnej, jest bardzo względna i inną być nie może, jeżeli sam parlamentaryzm ma zachować sens i życie.

Bieg wypadków wysuwa wciąż nowe zadania, każda większej miary kwestja wstrząsa całym układem istniejących stronnictw i może doprowadzić do ich przetasowania, do rozłamów i fuzji partyjnych. Niema też mowy o stałej większości w państwach zachodnich nawet na przeciąg jednej kadencji. Baldwin skupił dokoła swej odezwy programowej niebawemą większość, ale nawet pisma jego obozu ostrzegają go przed przecenianiem obecnego zwycięstwa, gdyż ta sama opinja, która tak wyraźnie poparła jego stronnictwo, odwróci się od niego, skoro ujrzy się zawiedziona w swych oczekiwaniach.

I taką musi być naturalna kolej rzeczy w systemie parlamentarnym. Nie może być stałej większości, gdyż niema stałego zaufania i poparcia, które byłoby niezależne od dodatnich czynów rządu i jego błędów, oraz zaniedbań. Wprawdzie według biurokratycznego punktu widzenia autorytet rządu winien stać powyżej podobnej oceny, ale sam biurokratyzm jak najgorzej zdał w oczach obecnego pokolenia swój egzamin państwowy i chyba stracił prawo do ferowania odnośnych wyroków.

Duszą parlamentaryzmu jest stały i bezustanny wysiłek o panowanie nad opinią i nad instancjami prawodawczemi. Zasłużony mąż stanu, który mógłby się powołać na swą kompetencję i sukcesy, na długie lata służby publicznej, nie może zostać rentjerem swego moralnego kapitału. Gdy obejmuje ponownie władzę, musi *in merito* bronić swej polityki i swych projektów, musi zdobywać dla nich uznanie tak samo jak nowicjusz. Tak przynajmniej jest w zasadzie.

W tym twórczym wysiłku, w tem napięciu myśli politycznej, udzielajacem się nietylko przedstawicielstwu, lecz i opinji publicznej, leży wielka wartość parlamentaryzmu, która nie pozwala narodowi zejść na ten poziom kwietyzmu, i bezmyślności i bezradności, na jaki spaść mogą państwa, które były kiedyś prowadzone autokratycznie przez utalentowanych wład-

ców, lecz po ich utracie, poddają się fatalistycznie rządowi głupców lub półobłąkańców.

Nasza prawica nie pogodziła się dotąd z parlamentaryzmem i marzy o tem, aby zrobić z niego martwą dekorację, osłaniającą rządy nieodpowiedzialnej kliki. Czemże bowiem byłaby „stała większość” z góry zabezpieczona przez ordynację wyborczą? Gromadą marionetek, podnoszącą na komendę palce, gromadą całkowicie zbędną i ośmieszającą tylko państwo polskie.

Zamiast myśleć o naprawie naszego parlamentaryzmu, prawica marzy o jego falsyfikacie i karykaturze.

T. G.

O siły narodu.

Dyskusja nad budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych, jaka się odbyła w komisji sejmowej, nie zadowolniła niestety i nie może zadowolnić nikogo. Zbyt wiele w niej drgało momentów politycznych, zbyt mało ujawniło się w niej istotnej troski o armję i jej codzienne potrzeby. Pozwolimy sobie dotknąć tych zagadnień w sposób spokojny i rzeczowy, bo muszą się one stać przedmiotem publicznej dyskusji.

Ci co przeglądają wydawnictwa T-wa Wiedzy Wojskowej, co czytają nasze regulaminy i instrukcje, wertują *Bellone*, czy *Żołnierza Polskiego* muszą uznać, że poziom tych wszystkich wydawnictw istotnie jest bardzo wysoki i nie ustępuje w niczem analogicznym wydawnictwom zagranicznym. W niczem?... Zastanowimy się nad tem słowem. Ustępuje, stwierdzamy z przykrością, w szczerości. Kiedy zagranicą krytyka kampanji i jej poszczególnych części jest dopuszczalna w bardzo szerokiej mierze, i nawet uważa się za pożądaną, gdy nawet w Rosji, dajmy na to, taki gen. Iwanow w swych publikacjach fachowych wydawanych przez urządową księgarnię Berezowskiego, mógł nie tylko nicować posunięcia wodzów, ale uderzać w politykę wewnętrzną, gromić stosunek rządu do oświaty w kraju, nasze wydawnictwa w stosunku do naszych dowódców są niesłychanie powściągliwe. Biorę niedawno wydaną książkę o boju pod Wołkowyskiem. Analiza działań naszych jest tak pobieżna, iż mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że jakaś opiekuńcza ręka wykreślała tam całe strony, aby nie urazić nikogo, aby słabe strony naszej armji pozostały w tajemnicy. Próżna troska, panowie. Oko nieprzyjaciela dopatrzy się ich w opisie. Życzliwe zostanie złudzone i czujność pomocną ukołyszą błogie marzenia.

Panowie! strzeżcie się zgubnej cenzury! Strzeżcie się usypiania opinji, bo nie znając was — o was zapomni, a wtedy nikt nie uzdrowi armji, nad którą czuwać musi w społeczności demokratycznej cały naród.

Cieszymy się z wyników, jakie osiągnęli instruktorowie francuscy w wyższej szkole wojennej. Ale cóż jest poza nią? Szkoła wojenna — to garstka młodych, najzdolniejszych oficerów. Ale nasze pułki, nasze dywizje, a nieraz kompanje, baony, szwadrony, dyony i baterje w innych są rękach.

Czyich?!

Oficerów „przeszkolonych“. Tak, przeszkolonych. Ale to przeszkolenie niestety było tylko powierzchowne. Ogromna większość starszych oficerów tkwi bez reszty w przyzwyczajeniach i nawyknieniach armij zaborczych. Najpiękniejsze ich wspomnienia pochodzą z dni chwały caratu i cesarstwa. Ich metody nie przestały być prawosławne, lub k. u. k. Jeden z wyższych wojskowych francuskich nie tak dawno mówił, że na dwadzieścia pułków, które wizytował, tylko w jednym zostały zastosowane doświadczenia ostatniej wojny, że tylko jeden dowódca umiał zastosować to, czego go uczono na kursach. Reszta, wracając do oddziałów, powyrzucała co prędzej z głów „śmiecie“ i „nowinki“ farmazońskie wracając do tego, co im wpajano, gdy nosili „z honorem“ czarno żółty mundur.

Gen. Latinik, twierdzący, że to co zostało z legionistów jest nic nie warte, to typ nad którym warto się zastanowić, bo nie jest on odosobniony. Tak samo myślą nieomal wszyscy jego koledzy austriacy i rosyjscy. Czują oni swą nieskończoną wyższość nad dyletantami wszelakiego rodzaju, którym to mianem chrzczą wszystkich, którzy nigdy najmitami carskimi, czy cesarskimi nie byli. Hańbę służby obcej okrywają oni rozpaczliwie płaszczem „fachowości“, która ma być dla nich usprawiedliwieniem kondotjerstwa własnego. Stąd płynie ich uwielbienie dla dawnych systemów — pogarda dla wszystkiego, co wnosi Polska. Żle się stało, że tym ludziom przyznano prawa oficerów czynnych. Ale skoro się stało — musi być nad nimi roztoczona czujna i stała opieka. Muszą oni czuć rygor i stosować się do niego. Muszą być ujęci w karby żelaznej dyscypliny i podporządkowani w całości zamierzeniom dowództwa, kierownictwa armji. A tak nie jest — bo starają się o to tylko instruktorowie francuscy, dowódcy polscy okazują tu karygodne niedbalstwo. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że armja polska będzie narodową dopiero wtedy, gdy nie zostanie w niej ani jeden oficer obcej służby i do tego celu winniśmy dążyć stale, z żelazną konsekwencją.

Ale takie określenie stanowiska nie wystarczy. Aby to umożliwić musimy ściągnąć do wojska ludzi najzdolniejszych. Dziś na nędzę oficerską ludzie iść niechcą, i nie są w stanie. Narybku oficerskiego niema. Podporucznik, a nawet porucznik jest już u nas rzadkością. Rząd, który nie zdaje sobie sprawy z grozy położenia, naprawdę zasługuje na miano ślepego. Minister spraw wojskowych, który obojętnie traktuje brak nowych sił w armji i nie znajduje na to rady — nie jest

tej armji stróżem. Społeczeństwo, które nie rozumie grozy sytuacji samo sobie gotuje zgubę.

Stajemy wobec tego społeczeństwa z poważnem i sumiennem ostrzeżeniem. Unarodowienie armji jest rzeczą konieczną. Ale będzie ono możliwe dopiero wtedy, gdy damy oficerom należyte uposażenie. Oficer zarobkować ubocznie nie może. Musi on żyć ze swojej pensji. Dajmy mu pensję, a nie lichy napiwek.

▲. *Uziębło.*

Les amis de nos amis sont nos amis.

Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi, powiadają Francuzi. Formuła ta w piękny sposób jednoczy w sobie optymistyczną koncepcję uprzejmości z rycerską zasadą odpowiedzialności towarzyskiej. Jednakże chwilami zdaje się, że jest w niej coś powierzchownego, czego lepiej, być może, nie zgłębiać. Kto wie dokąd mogłoby nas zaprowadzić konsekwentne rozwijanie tej zasady?

Uwagę tę zrobiło zapewne wielu czytelników znanego organu radykałów francuskich *Le Quotidien*, którego reporter opisał był przed tygodniem przyjacielski obiad wydany przez senatora de Monzie na cześć Rakowskiego w hotelu Meurice w Paryżu. W liczbie przyjaciół Rakowskiego, którzy znaleźli się tam za stołem, reporter radykalny wymienia:

1) Senatora Noulensa, b. ambasadora w Petersburgu i prezesa towarzystwa France Pologne, który uchodzi za głównego doradcę poselstwa polskiego w Paryżu.

2) Jana Herbertta, b. redaktora organu półoficjalnego Trzeciej Republiki, obecnie ambasadora francuskiego w Moskwie.

3) Przedstawiciela pisma Poincarego *Le Matin* (ale nie Koraba Kucharskiego, równoczesnego współpracownika pisma p. Strońskiego).

4) Przedstawicieli pism reakcyjnych *Le Petit Journal* i *Le Petit Parisien*.

5) Emila Buré, redaktora pisma *L'Eclair*, będącego w najbliższych stosunkach z poselstwem polskim i jednocześnie stojącego na samem czele kampanji oszczerstw przeciw obecnemu rządowi francuskiemu.

6) Redaktora politycznego agencji Havasa i t. d.

Czytając tę listę intymnych współbiesiadników Krystyna Rakowskiego odczuwamy mimowolną konfuzję. Zamiast przysłówiowych „masonów i żydów“ widzimy tam właśnie przysięgłych reakcjonistów, którzy żyli dotychczas, zdawało się, profesjonalnie ze zwalczania bolszewizmu, rewolucji, radykalizmu i bodaj nawet samej republiki.

Dowiadujemy się w ten sposób, jak mylnie byliśmy informowani o tem, co się dzieje w Paryżu. Od przyścia we Francji do władzy radykałów, prasa endecka, posiadająca przywłaszczony sobie niewiadomym tytułem monopol na frankofilstwo, zajęła się profesjonalnem lżeniem rządu francuskiego i, nie wiedząc co powiedzieć jeszcze dla zohydzenia nam tego ostatniego, dawała do zrozumienia, że „masoni i żydzi“, rządzący obecnie Francją, są przyjaciółmi bolszewików.

Znakomity obiad w hotelu Meurice zadaje kłam tym informacjom. Wskazuje on, że nacjonałiści są wszędzie tacy sami. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, jak w 1921, po przyjeździe pierwszego pośła sowieckiego do Warszawy, redaktorzy *Gazety Warszawskiej* i *Rzeczypospolitej* ku ogólnemu zdziwianiu wzięli do rąk swe najpiękniejsze szczotki i oczyścili niemi na glanc oba buty towarzysza Karachana. Teżę operacji dokonali właśnie z równym pośpiechem francuscy przyjaciele naszych endeków. Mamy pewne dane przypuszczać, że pośpiech ten obudzi w towarzyszach bolszewikach, którzy bądź co bądź są rewolucjonistami, uczucie prawdziwej pogardy dla drobnomieszczańskiej hipokryzji Noulensow i Herbettów.

Dotychczas zdawało się nam, że dumnie zamknięci w najeżonym bagnecie Krenlu towarzysze Trockiego i Zinowjewa są zgoła niedostępni dla naszej demokratycznej przyjaźni. Obecność jednak w hotelu Maurice patentowanych przyjaciół Polski i członków towarzystwa Les Amis de la Pologne rozwiewa w zupełności to złudzenie. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Noulens, będąc naszym przyjacielem, jest jednocześnie przyjacielem Rakowskiego. Ergo jesteśmy przyjaciółmi Rakowskiego. Ten ostatni jest przyjacielem Lwa Trockiego. Ergo... Formuła czarnoksięska przyjaźni cyrkularnej prowadzi nas — bez żadnej gradacji światłocienia — w nieznane regiony z taką raptownością, że mimowoli chcielibyśmy wstrzymać się na chwilę, aby ochłonąć z wrażenia.

Uspokoiwszy się jednak po gwałtownych skokach myśli proponujemy czytelnikom, zwłaszcza tym, którzy z powodu kataru żołądka lub innych przyczyn mają skłonność do melancholji, aby dla rozrywki spróbowali przeprowadzić w myśli łańcuchy przyjaźni w rodzaju np. takiego:

Piszący te słowa jest przyjacielem towarzysza Hieronimki, który jest przyjacielem ordynata Zamojskiego, który jest przyjacielem senatora Noulensa, który jest przyjacielem Rakowskiego, który jest przyjacielem Griszki Zinowjewa, który jest przyjacielem Łunaczarskiego, który jest przyjacielem Iwanowa I-go, który jest przyjacielem chorążego Otletajewa, który jest przyjacielem Iwanowa II-go, który jest przyjacielem Dienikina, który jest przyjacielem generała W. P. i kawalera orderu wirtuti militari X, który jest przyjacielem majora W. P. Y, który jest

przyjacielem podporucznika Z, który jest przyjacielem piszącego te słowa, który jest przyjacielem tow. Hieronomki...

Dla tem pewniejszego efektu radzimy czytelnikom w chwilach smutku wyobrażać sobie cały taki łańcuch przyjaciół trzymający się za ręce i tańczący en rond coś wesołego. Jesteśmy pewni, że po ułożeniu takich kilku kół, czytelnicy nasi doznają nie tylko błęgiego uczucia optymizmu na widok łańcuchów braterstwa opasujących glob ziemski, ale spostrzegają także, że życie polityczne, obok zawodu i goryczy, zawiera także nieprzebrane skarby komizmu.

Serafin.

Posel profesor Stroński i obyczajność.

Niech nikogo takie zestawienie nie dziwi. Bywają chwile w życiu człowieka i t. d. Posel profesor Stroński przemówił o obyczajności. Nie w Polsce szukał przykładu.

We Francji, w Paryżu, przy biesiadnym stole *cousine Yvonne*, tak bowiem zwykło się nazywać *Université des Annales*, powiedzieli sobie wiele uprzejmych słów pp. Ponicaré i Herriot. W Londynie, w Guildhallu p. Stanley Baldwin mówił o działaniach politycznych swego poprzednika „które okazały się tak pomyślne pod zrzecznem kierownictwem p. Mac Donalda”.

Dwa wymienione wyżej wypadki nasunęły p. Strońskiemu takie refleksje:

„Co kraj to obyczaj. Tam Dèjeuner das Annales lub Guildhall Banquet, tu bywa Sala Malinowa, gdzie następcy u steru Państwa przy biesiadnym stole przedstawieni są jako mordercy i łżeni wyzwickami karczemnemi, ale na szczęście i tu bywa inaczej i bliżej obyczajaju zachodniego”.

Nie jest może rzeczą tylko przypadku, że zdanie to jest niebardzo jasne. Ale to trudno. Prof. Stroński i obyczajność, to coś jakby słoń i porcelana...

Pan Stroński ma pretensję o Salę Malinową. Czy doprawdy pan profesor Stroński nie pamięta, że on pierwszy napisał radosną, triumfującą korespondencję z Paryża p. t. „Ententa pamięta“, gdy u zarania Polski Niepodległej minister spraw zagranicznych Pichon atakował z trybuny parlamentu francuskiego Józefa Piłsudskiego? Czy nie pomyślał p. Stroński o tem, że w przeciągu czterech lat nikt inny jeno właśnie on, przez cztery lata rzucał najgorsze oszczerstwa na Naczelnika Państwa, przez cztery lata stale i zawsze przekręcał wszystkie Jego słowa i myśli, że na łamach pisma p. Strońskiego posądzono Naczelnika Państwa o kradzież, na łamach jego pisma rzucono na Naczelnika Państwa najgorsze, najokropniejsze, najsraszniejsze oskarżenia jakie kiedykolwiek na Naczelnika jakiegokolwiek Państwa rzucono—oskarżano go o zdradę stanu, o porozumiewanie się z wrogiem w czasie wojny? Czy przypominać należy posłowi Strońskiemu, że to on wołał „ciszej nad trumną“ nazajutrz po najtragiczniejszym mordzie, jakiego dokonano w Rzeczpospolitej? Czy to nie posel Stroński uważał ostatnio, za rzecz zupełnie naturalną, zdarzającą się za granicą „po sto razy“, by rząd oskarżano, że jest na usługach obcych mocarstw?

Cóż wreszcie z obyczajnością ma wspólnego ostatnie zachowanie się p. Strońskiego wobec pp. Padarewskiego i Korfantego, po czteroletnim pasowaniu tych panów na najwspanialszych rycerzy ducha, na największych mężów stanu Polski odrodzonej?

Do Kanossy, Panie Pośle Profesorze Strońskil Dopóki Pan na kolanach i bijąc się w piersi o przebaczenie wołać nie będzie *mea culpa, mea maxima culpa*, o obyczajności mówić Panu nie wolno.

Jako profesor uniwersytetu, jako profesor romanistyki, jako doskonały znawca kultury francuskiej — stał się Pan w Polsce najgorszym rozsądkiem nieobyczajności pisarskiej.

Imni szli w profesora ślady. I dla tego wina Pana jest największa. Tu nie obyczajność idzie — ale o kulturę

A.

W sprawie pojedynku.

Niektóre organy prasy przeciwnego mi obozu politycznego (Gazeta Warszawska), wysnuwając refleksje na temat pojedynku mego z gen. Szeptyckim, uznały za słuszne stwierdzić, iż fakt rozgłoszenia tej sprawy przez Polską Agencję Telegraficzną wskazuje na chęć pewnych czynników szkodenia gen. Szeptyckiemu.

Ponieważ ostrze tej przejrzystej insynuacji skierowane jest przeciwko mnie lub moim najbliższym przyjaciołom, jako że w sprawach honorowych, a więc poufnych, strony jedynie są o jej biegu poinformowane, przeto stwierdzam niniejszym, że ani ja sam, ani nikt z moich przyjaciół w tej sprawie informacji jakiegokolwiek czynnikom oficjalnym, a więc i P. A. T-icznej nie udzielaliśmy.

Byłem wielce zaskoczony wiadomością, że dnia krytycznego około południa z miarodajnego źródła urzędowego rozestany został prasie komunikat, w parę godzin później powtórzony przez P. A. T-iczną.

Kto był jego autorem, jest dla mnie kwestją obojętną, jakkolwiek pragnę dać wyraz przekonaniu, iż wbrew wyjaśnieniom niektórych dzienników (Stołeczny Kurjer Wieczorny), nie nadawał go osobiście gen. Szeptycki.

W. Stępczyński

Inwigilacja Marszałka Piłsudskiego i honor armji.

Ku rozwadze p. Ministra Spraw wojskowych.

Gabinet ministra spraw wojskowych, t. zn. p. Minister ogłosił ostatnimi dniami komunikat następującej treści:

„Wobec cofnięcia przez prokuraturę wojskową za zgodą właściwego dowódcy oskarżenia, wniesionego przeciw porucznikowi Lis-Błońskiemu w kierunku występku z art. 139 k. k. w. umorzył wojskowy sąd okręgowy w Warszawie na posiedzeniu dyspozycyjnem, odbytym dnia 19 lutego 1924 r., dalsze postępowanie prawne przeciwko por. Lis-Błońskiemu na zasadzie paragrafu 254 p. k. w. Cofnięcie wniesionego oskarżenia przez

prokuraturę nastąpiło na zasadzie par. 254 i 255 p. k. w. *wobec wyniku dodatkowo przeprowadzonego śledztwa*“.

Mimo stylistyczne zawilości tego komunikatu, sprawa w nim omawiana zachowuje w całości kręgosłup chłodnej logiki.

Jakże to? Oficer wniósł na ręce władz przełożonych piśmienny raport służbowy, oskarżający jego bezpośredniego zwierzchnika o czyn niewątpliwie hańbiący: wydanie rozkazu szpiegowanie drugiego, według protokołu urzędowego, po Prezydencie Rzeczypospolitej obywatela w państwie, a pierwszego w drabinie hierarchicznej oficera armji. Ministrowi spraw wojskowych oskarżenie wydało się tak niestychanie potwornem, iż nie znalazł w swym sumieniu dość siły, aby mu dać wiarę. Zdecydował, iż nie może to być, aby oficer polski mógł upaść na dno hańby — to raczej składający raport padł ofiarą pomyłki, lub dopuścił się zbrodni oszkalowania swego przełożonego. Nakazał więc prokuraturze postawić tego ostatniego w stan oskarżenia, by sąd wymierzył mu karę. Lecz w toku rozprawy sędziowie spotkali się z tak szeroką falą nowego materiału dowodowego, nietkniętego w dochodzeniach prokuratorskich, że uznali za konieczne odesłać całą sprawę do uzupełniającego śledztwa i powierzyć je kompetentnej i odpowiedzialnej instancji sądowej — sędziemu śledczemu.

I oto nagle dowiadujemy się, że na podstawie materiału uzupełniającego, przez postępowanie śledcze zebranego, prokuratura „za zgodą zwierzchnika sądowego“, ergo ministra spraw wojskowych, cofnęła akt oskarżenia, sąd zaś był zmuszony sprawę umorzyć. Dobrze. Lecz podążajmy konsekwentnie śladem zimnej logiki takiego, od dawna zresztą szeptem i na ucho pomiędzy sferami rządzącymi państwem w drugiej połowie 23 r. zapowiadanego, zakończenia tej sprawy.

Prokurator cofnął akt oskarżenia przeciwko por. Lis-Błońskiemu o fałsz w raporcie oskarżającym majora Pieczonkę o szpiegowanie Marszałka Piłsudskiego. a więc — por. Błoński zameldował prawdę, a więc Pieczonka, wbrew nadziei ministra, szpiegował, pohańbił mundur polskiego oficera, upadł na dno hańby, dopuścił się występku przeciwko subordynacji służbowej, boć działał podobno bez pozwolenia władz przełożonych, i przeciwko honorowi munduru, z pod którego wyszła na wierzch austriacka zgnilizna K.-Stelle — sławnej deprawatorki dusz.

Cóż tedy uczyniono z mjr. Pieczonką, cofając akt oskarżenia przeciwko por. Błońskiemu? Czy obrócono ostrze sprawiedliwości przeciwko niemu? Czy postawiono go w stan oskarżenia, by ci z jego kolegów, którzy nie zdołali jeszcze oswoić się z polską *mentalité*, obcej zachowując nawyki, zrozumieli dotkliwie i namacalnie, jakie są granice elastyczności 100 procentowego polskiego honoru wojskowego, a w tym wypadku nietylko wojskowego?

Owszem, na pochwałę p. ministra spraw wojskowych trzeba powiedzieć, iż w stosunku do Pieczonki wyciągnięto konsekwencje, i to nawet poważne, ostre, bezlitosne... przeniesiono go na nowe stanowisko.

I żeby nas najusilniej starano się zastraszyć i do milczenia nakłaniać, nie cofniemy się przed obowiązkiem postawienia kropki nad „i“, t. j. stwierdzenia, że tego rodzaju traktowanie spraw o zasadniczej wagi znaczeniu moralnym dla armji, jest szkodnictwem, jest redukowaniem jej moralnej wartości — władza i puklerza szarych szeregów „wielkiej niemowy“, posiadającej przecież serce — uczuć ludzkich pełne, nerwy — o wytrzymałości ograniczonej, i krew — zdolną do wzburzeń tyleż w temperaturze zapału ile gniewu, zrodzonego z bezkarne hulającej krzywdy.

Pozostawiamy małym ludziom prawo czynienia z każdej, a więc i tej sprawy, igraszki, i wydobywania z niej drobnych szpilek do walki o osobistości, z nimi, przeciw nim i dla nich.

Ludziom poważnym i głęboko o przyszłość zatroskanym stawiamy do przemyślenia pytanie — dokąd prowadzi zaprodukowana nam w tej sprawie przez ministra spraw wojskowych bezkarność występku przeciwko tej minimalnej dozie honoru munduru żołnierskiego i obywatelskiego, bez którego społeczeństwo musi się stać gniazdem węzów podstępnie mordujących i pożerających wzajem, a armja pierwszym i decydującym motorem anarchji, nie znającej granic, ani świadomej skutków swego tryumfu.

W. Stpiczyński.

* * *

W № 62 *Głosu Prawdy* podaliśmy część materiału zebranego w śledztwie, oświetlającego powagę i charakter sprawy mjr. Pieczonki, a może i powody, dla których została zatuszowana i schowana do dyskretnego archiwum. Obecnie podajemy tych materiałów ciąg dalszy, jako niezbędne, poprzednio na tym miejscu opublikowanego, uzupełnienie.

(*Plk. Szt. Gen. Zamorski Kordjan — Szef Sztabu D. O. K. III*).

Stwierdzam, że w lipcu 1923 r. w D. O. K. III panował tak podniecony nastrój, a względnie na terenie D. O. K. III widoczna była taka niechęć wzajemna władz administracyjnych do osób wojskowych i odwrotnie, widoczny był silny niepokój, jak gdyby w oczekiwaniu na jakiś zamach, do tego stopnia, że na odprawie wyższych D-ców, dowódcy dywizji *metodując o obserwowaniu poszczególnych oficerów przez policję, zapytywali D-cę O. K. w jaki sposób należy zachować się wobec tych praktyki policji.* D-ca O. K. III gen. bryg Malczewski wezwał Dowódców Dywizji do ignorowania postępowania policji, gdyż wiedział, że wojskowi nie dają żadnej podstawy do nieufności.

Znane mi jest pismo Ministerstwa Spraw Wojsk. do D cy O. K. III nakazujące zbadanie czy D two Obozu Warownego w Wilnie prowadzi

agitację polityczną w tak zwanym związku bezpieczeństwa kraju. Pismo to zwracało uwagę na działalność pka Paślowskiego, powołując się na informację M. S. Wew. Wiadomo mi, że mniej więcej tej treści było więcej pism... Muszę zaznaczyć, iż tylko dzięki wysokiemu taktowi gen. br. Malczewskiego te jętrzenia nie wywołały żadnych ujemnych następstw i że w korpusie oficerskim D. O. K. III został zachowany zupełny spokój i równowaga.

.....

Będąc w tym czasie w Warszawie zaszedłem do mjra Pieczonki informując go o nastrojach panujących wśród oficerów D. O. K. III, zwracałem uwagę na to, że Sztab Gen. powinien dążyć do usunięcia powodów nieporozumienia, a przede wszystkim powinien odpowiednio zorientować M. S. Wew. celem uniknięcia jętrzenia przeciw tym, którzy w czasie całej wojny cieszyli się zupełnym zaufaniem i nie dali w tym czasie żadnych powodów do nieufności. *Wówczas mjr. Pieczonka powiedział: „ja to zupełnie uznaję, ale to nie odemnie zależy, gdyż dostaję rozkazy z góry”.*

(Mjr. Świtalski Kazimierz).

W październiku czy listopadzie 1923 r. podczas jednego z zebrań towarzyskich, urządzanych przez moją żonę, któryś z gości przyszedłszy około godziny 10-ej wieczorem oświadczył, że zauważył paru mężczyzn obserwujących moje mieszkanie i wejście do domu. ...Goście moi kilkakrotnie wyglądali przez okno i widzieli tych osobników, Ja sam zauważyłem ich dopiero około godziny dwunastej..

(Kpt. Bratkowski Mieczysław — Oddz. II Szt. Gen.).

Przyjąłem (na służbę) Płakidę jako agenta, mimo, że słyszałem już poprzednio o nim jako o człowieku ochrony i prowokatorze, aby w ten sposób mieć go na oczach. O zaufaniu do Płakidy w tych warunkach nie mogło być mowy... Nie tylko nie proponowałem Płakidzie inwigilowania stronnictw prawicowych, *ale Płakida właśnie zameldował mi, że poseł Kozicki, wezwawszy go do jakiegoś mieszkania przy ul. Leszno zaproponował mu udzielanie informacji o pracach Oddz. II Sztabu, oraz o stanie Strzelca.* O tym fakcie zameldowałem ppłk. Matuszewskiemu. O ile sobie przypominam, ppłk. Ścieżyński mówił mi, że spotkał w hotelu Polonia posła Kozickiego w towarzystwie mjra Pieczonki czy też Płakidy.

(Por. Kowalewski Władysław — Oddz. II Szt. Gen.).

Jako oficer Oddz. II Szt. Gen. po zamordowaniu Prezydenta Narutowicza byłem mianowany Szefem Defensywy politycznej M. S. W. na Warszawę, które to obowiązki pełniłem przez kilka tygodni, potem powróciłem do Oddz. II Szt. Gen. i pozostawałem na tem stanowisku do chwili objęcia kierownictwa Wydz. Wyw. przez mjr. Pieczonkę... Znając szereg oficerów Oddz. II i funkcjonariuszy defensywy, miałem możliwość nawet po usunięciu z Oddz. II Szt. poznać wiele faktów, które ilustrują politykę ówczesnego rządu w kierunku wywiadowczym.

W szczególności doszło do mojej wiadomości, że *mjr. Pieczonka utrzymywał ścisły kontakt z defenzywą, że Płakida widywał się ze Śwołkieniem, jak również, że Płakida spotykał się w cukierniach z rotm. Ślińskim, ofic. ordynansowym Szefa Szt. Gen. Stanisława Hallera, czem się sam Płakida chwalił. Płakida opowiadał, że nawet został przedstawiony Szefowi Szt. Gen. gen. Hallerowi. Zupełnie nienormalny był bliski stosunek Płakidy z mjr. Pieczonką i wpływ Płakidy na zwalnianie i przyjmowanie niższych funkcjonariuszy.* Tenże Płakida był informatorem Pkouratora Wojsk. Sądu Okr. Nr. 1 w dochodzeniach mających na celu kompromitację oficerów Oddz. II Szt. Gen.

Wszystkie te okoliczności wskazują na bliski kontakt władz wyższych z wywiadowcami, a skierowanie pracy tych ostatnich przeciw byłym oficerom Odz. II. Szt. wskazuje wyraźnie jakie były cele tego porozumienia.

(*Kpt. Kirtiklis Stefan — Oddz. II Szt. Gen. Eksp. Wilno*).

Podczas pobytu Marszałka Piłsudskiego w Wilnie w drugiej połowie 1923 r. pełniłem służbę u niego, jako oficer ordynansowy i jako taki mogę stwierdzić, że Marszałek był inwigilowany przez Kierownika Działu V f. w Wilnie, komisarza Florę, oraz Szefa Policji Politycznej p. Swolkienia, który specjalnie w tym celu przybył do Wilna. Wyżej wymienione osoby posługiwały się nie tylko agentami, lecz i nielegalnymi organizacjami „faszystów”. Lokal Marszałka był systematycznie obserwowany, a osoba jego śledzona przez podejrzone indywidua. Oprócz Marszałka byli szpiegowani wszyscy wyżsi oficerowie b. Legionów. Między innymi zastępca D-cy obozu Warownego Wilno płk Paślowski. Zachowanie się p. Swolkienia i jego agentów oburzało korpus oficerski i społeczeństwo do tego stopnia, że wreszcie D-ca 19 dywizji, płk. Tokarzewski interwenjował u zastępcy Delegata Rządu w Wilnie p. Malinowskiego o natychmiastowe usunięcie p. Swolkienia i jego agentów z miasta. Tak się też i stało... Wiem, że b. agent Polkowski został zwolniony ze służby za to, że nie chciał inwigilować Marszałka i oficerów legionowych. Wiem, że płk. Paślowski w mieszkaniu swoim w hotelu Europejskim był śledzony stale przez wyjęte dachówki w dachu Magistratu. W tym samym czasie był również śledzony Inspektor Armji gen. Rydz-Śmigły.

„Sprawa pomiędzy dwoma trupami”. *)

Pod powyższym tytułem wydał Leo Belmont, literat i publicysta dużego imienia, zdobytego pracą niepospolicie wyteżoną i talentem nad miarę codzienną, książkę z własną mową i materiałami z procesu sądowego przeciwko swemu dawnemu pupilowi, a dzisiaj niegodziwemu i cynicznemu potwarcy, A. Nowaczyńskiemu.

Główna część tej książki, mowa Leo Belmonta, spowiedź jego czystego i zasłużonego życia przed sądem, lecz nie tylko dla sądu uczyniona, jest zaiste w swej prostocie i szczerości piękna i wzruszająca. Brzmi w niej nuta szlachetnego umiaru człowieka ku schyłkowi dni swoich pracowitych schodzącemu, przechodząca chwilami w głośny akord odwagi w skromności, gdy mówiąc o sobie mieni się już trupem: „Taki To jest sprawa pomiędzy dwoma trupami. I to nie trupami jutra — lecz dzisiaj. Ja umarłem — on także, lecz każdy z nas inaczej! Moje publicystyczne, niosące społeczności prawdę mego serca i myśli, usta zostały zamknięte... Ale i on, który tyle pisze — jest trupem. Bo to nie jest dawny Nowaczyński — nie ów zapowiadający się niezwykle talent satyryczny. To jest rozkładający się trup talentu, który wyziewami swej zgnilizny zaraża atmosferę społeczną. Ilu ludzi najszybszych owiał i zbrukał ten trupi wyziew — policzyć trudno”.

Owiał też i skrzywdził Leo Belmonta.

I właśnie jego, człowieka bez skazy grzechu przeciwko sumieniu obywatela i syna Polski, hojnego rozrzutnika swego talentu dla dobra i szczęścia tej ziemi, którą ukochał, szermierza nauki i jaśniejszej przyszłości swego narodu, objawienia której radość promienną zatrął mu rzezimieszek moralny — potwarca. Ten „wyziew zgnilizny” oszkalował człowieka, który całe swe życie, wracę temperamentem i pasją do pracy, przeszedł pod rękę z wiecznie niezaspokojonym niedostatkiem materialnym, nie ulegając przecież nigdy jego ciężarom, broniąc przed jego dzieckiem — pesymizmem swój niespożyty optymizm i płodność talentu.

*) Sprawa Pomiędzy Dwoma Trupami — *Leo Belmont*, sprawozdanie z procesu o oszczerstwo przeciwko A. Nowaczyńskiemu.

Oszkalował wreszcie człowieka, który mu był najgorętszym i jedynym bo-
daj swego czasu obrońcą.

Można o Leo Belmontie powiedzieć, że potrzeba obrony—w jego
pojęciu—prześladowanych, jest od początku jego działalności publicy-
stycznej, do dnia dzisiejszego, integralną i podstawową częścią jego cha-
rakteru. Jakżeż to pięknie mówi o człowieku.

W latach rewolucji 1905—6 bronił przed Temidą—utrzymanką caratu
rosyjskiego działaczy P. P. S., bronił gorąco, nie oszczędzając swojej
osoby.. i zbierając w nagrodę dla siebie wyroki więzienia, zesłania i wy-
kluczenie z korporacji adwokackiej. Bronił na niwie literackiej Nowa-
czyńskiego, gdy jako wschodzący talent satyryczny, każdym krokiem po-
mnażał szeregi swych nieprzyjaciół. Parował zwrócone przeciw dzisiej-
szemu swemu potwarzy ataki prof. Chmielowskiego, Wincentego Rzy-
mowskiego, parował uderzenia szpicruty Augusta Kielewskiego, bronił na-
wet przed chorobą, zabiegając dlań o pomoc lekarską. I znów nie zwa-
żał na konsekwencje — wynikające stąd zwracanie przeciw sobie z po-
wodu Now. dawnych przyjaciół, ryzykując nawet życie w pojedynkach.
I któż wreszcie nie pamięta wystąpienia Leo Belmonta z publikacją w obro-
nie Eligijusa Niewiadomskiego, z powodu której-skrzyżowaliśmy z nim
na łamach *Głosu Prawdy* broń polemiczną.

I oto ten sam Nowaczyński, który z okazji jubileusza 25-ciolecia
pracy literackiej Leo Belmonta pisał doń: „życzę Drogiemu Panu, żeby
Pan już odżył i wrócił do głosu, którego brak wszyscy odczuwamy. W tej
myśli ściskam dłoń Pańską zacną z głębokiem przekonaniem, że ściskam
dłoń jednego z najczystszych Polaków moich czasów“ — dzisiaj usiłował
go zożydzić, zniszczyć i po za nawias społeczeństwa wyrzucić.

Książka Belmonta podłość tę piętnuje i uwiecznia.

W. S.

WYSZŁA Z POD PRASY BROSZURA

p. t.

RZĄD CHJENO-PIASTA PRZED SĄDEM

*zawierająca sprawozdanie z 11-stu procesów redaktora Głosu Praw-
dy o obrazę rządu Witosa, Seydy, Szeptyckiego, Kiernika, Kuchar-
skiego i Swolkienia.*

Treść № 64-go: Rozwiązanie zagadki historycznej - *W. Stpiczyński*. —
„Stała więźność sejmowa” - *T. G.* — O siły narodu - *A. Uziembło*. —
Les amis de nos amis son nos amis - *Serafin*. — Poseł profesor Stroń-
ski i obyczajowość - *A.* — Oświadczenie w sprawie pojedynku. —
Inwigilacja Marszałka Piłsudskiego i honor armji - *W. Stpiczyński*. —
„Sprawa pomiędzy dwoma trupami” - *w. s.*

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty**, kwar-
talnie **3 złote**. Zagranicą kwartalnie **5 złotych**.

Konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr **3288**.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński**.

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA”, Moniuszki 11.

<http://rcin.org.pl>